ROZMAITOŚCI.

Dnia 12 września, N^er^ 37. roku 1846.

Szczególne małżeństwo.

I.

Kawaler des Arcis, oficer od kawaleryi, wystąpił z wojska 1760go roku. Chociaż jeszcze młody i majętny, uczuwał wstręt do życia bezżennego i do uciech Paryża, oddalił się więc do pięknej włości w pobliżu miasta Mans; tu samotność, która z początku zdawała mu się przyjemną, zaczęła go nudzić, postanowił więc ożenić się, i szukał żony, którąby także lubiła spokojne i samotne życie.

Córka bogatego kupca, który zarzuciwszy handel mieszkał w jego sąsiedztwie, podobała mu się. — Niezawisły od nikogo, różnica stanu między szlachcicem a córką kupca, nie była dla niego przeszkodą, udał się więc do jéj familii, która go chętnie przyjęła, starał się pannie podobać; nakoniec ożenił się.

Im bardziéj poznawał swoję żonę, tém więcéj odkrywał w niéj zalet; szczególniéj ujęła go jéj nadzwyczajna łagodność. Ona zaś była najmocniéj przywiązaną do męża, żyła tylko dla niego, i o to się jedynie starała, aby mu się przypodobać. Przyjeżdżali do miasta, i odwiedzali przyjaciół. Pan des Arcis zapraszał często do siebie krewnych żony, iż się jéj zdawało, jakby nigdy nie opuszczała domu rodzicielskiego; był łagodnym i dobrym, ale z natury melancholicznym; Cecylija, żona jego, szanowała ten chwilami przypadający smutek. Familija jéj składała się z zacnych i dobrych ludzi, w których kole pan des Arcis, znudzony zwyczajami Wersalu, chętnie przebywał. Wuj Cecylii, pan Giraud, wyborny człowiek, dawniéj majster mularski, a teraz budowniczy, mający 20 tysięcy liwrów rocznego dochodu; upodobał sobie bardzo dóm pana des Arcis, i był tam mile przyjmowanym, chociaż czasem przyszedł okurzony i zbryzgany, bo pomimo wieku swojego i majątku, nie mógł się wstrzymać od wyłażenia na najwyższe rusztowania. Często, wypróżniwszy parę kieliszków szampana, mówił do pana des Arcis: »Jesteś szczęśliwym, mój kuzynie! Jesteś młodym, bogatym, i masz dobrą żonę, czegoż ci więcéj trzeba?« Cecylija słysząc to, nachyliła się do męża mówiąc: „Musi w tém być cokolwiek prawdy, kiedy ci to w oczy powiada.“ — „Tak, jestem szczęśliwym, ile tylko człowiek szczęśliwym być może!“ odpowiedział pan des Arcis. — Po kilku miesiącach uczuła pani des Arcis, że jest przy nadziei, co oboje małżonków uszczęśliwiło; rozmawiali tylko o swojém dziecięciu, o wychowaniu, jakie mu dadzą, i układali plany o jego przyszłości. Pan des Arcis podwajał swoję troskliwość około żony, i oboje żyli w najsłodszych nadziejach.

Nareszcie czas oczekiwany nadszedł, Cecylija wydała na świat piękną córkę, któréj dano imię Kamilla, i którą Cecylija w przekor obyczajom i doktorom, sama karmić postanowiła. Będąc pobożną, wstawszy z połogu, udała się naprzód do kościoła w chęci złożenia dzięki niebu za jéj uzdrowienie.

Dziecię nabierało siły i rosło widocznie, ale wszystkich dziwiła nadzwyczajna gnusność i nieruchawość jego; żaden gwar lub hałas nie zdawał się czynić na niém wrażenia, i na tysiące pieszczot, jakich matki do dzieci zwykle używają, było nieczułe. Kiedy je śpiewem do snu zachęcano, leżało spokojnie z otwartémi oczyma, i tylko je połysk lampy zajmował jedynie. — Zdarzyło się, że gdy spało, służąca nieostrożna wywróciła stolik z niemałym stukiem. Matka strwożona przybiegła skwapliwie do dziecięcia, ale z zadziwieniem spostrzegła, iż się nie przebudziło. Pan des Arcis strwożył się tym wypadkiem, który dość był oznaczającym. Doświadczając swego nieszczęsnego domniemania, poznał nareszcie, jaki los córkę jego czekał! Wezwano lekarza, ten po krótkim namyśle, doszedł téj smutnéj prawdy, że biedna Kamilla jest głuchą, a w skutek tego będzie i niemą.

II.

Pierwszą myślą matki było to trwożliwe zapytanie: czy ten błąd natury jest do uleczenia? Odpowiedziano jéj, że często uleczony bywa. — Przez rok cały żywiła tę słodką nadzieję, ale na nieszczęście wszystkie usiłowania lekarzy, były nadaremne.

Na hańbę rozumu ludzkiego panował w owym

czasie niepokonany przesąd przeciw biednym istotom, które głuchoniememi nazywano. Ludzie szlachetnego umysłu, wielu uczonych, powstawali od dawnego już czasu na to okrucieństwo. W szesnastym wieku pewien mnich w Hiszpanii był pierwszym, który się starał wynaleźć sposób, jakby niemego bez pomocy słów nauczyć sposobu mówienia. Później Bonnet, Wallis, Bulwer i Helmont, obszerne o tem wydawali dzieła, ale jak to bywa, wszystko było do nieuwierzenia i wszystko zostało bezowocném — wszędzie, nawet w Paryżu, gdzie oświata największy wzrost miała, uważano głuchoniemych, jako istoty piętnem gniewu boskiego upośledzone. Ich przeznaczeniem było: dla bogatych klasztor, a dla ubogich, zupełne od świata opuszczenie; więcéj one wzbudzały wstrętu niż litości. Pan des Arcis tym wypadkiem srodze dotknięty, oddał się najgłębszemu smutkowi. Największą część dnia przepędzał sam w swoim pokoju zamknięty, albo szedł w zacienia lasu lub przestworza pola. — Spotkawszy swoję żonę, starał się ile mógł, spokojną twarz ukazać, i pocieszać ją, ale nadaremnie. Pani des Arcis była niemniéj smutną. — Oboje kochający małżonkowie, zaczęli odtąd rzadziéj widywać się, a nawet unikali się wzajemnie; przedmiot który miał ich serca tém bardziéj słodko zjednoczyć, stał się trującą przegrodą. Ten nagły rozdział, straszliwszy od rozwodu, nad śmierć okropniejszy, z tego wyniknął, że matka na upór nieszczęściu, córkę namiętnie kochała, a pan des Arcis, mimo przezwyciężenie, mimo dobroć swoję, nie mógł pokonać wstrętu, jaki podług jego zdania, ta rzucona od Boga klątwa, na nim sprawiała.

»Mamże nienawidzić córkę moję?” pytał się nieraz samego siebie. »Jestże to jéj wina, że ją gniew Boga dotknął? Powinienem ją raczéj żałować, i starać się zmniejszyć boleść mojéj żony? Jakiż ją los czeka, jeżeliby ją ojciec opuścił! Bóg mi ją tak zesłał, poddaję się woli jego. Ona oprócz mnie i matki swojéj, niema nikogo na tym świecie, męża nie znajdzie nigdy — nigdy ani brata ani siostry miéć nie będzie! Dosyć już téj jednéj nieszczęśliwéj istoty na świecie!”

Tak dumał i rozmyśliwał pan des Arcis, i wrócił do domu z tém mocném postanowieniem, obowiązki ojca i męża jaknajsumienniéj wypełniać. — Zastał dziecię na łonie matki, ukląkł przed niemi, wziął Cecyliję za ręce, i oświadczył, że się dowiedział o sławnym lekarzu, że sprowadzić go kazał, że nie należy zupełnie tracić nadziei. To mówiąc, wziął córkę na ręce, i nosił po pokoju, ale w tejże chwili straszliwe myśli zajęły go mimo woli: wyobrażał sobie jéj przyszłość. Litość, wzgarda i wstręt świata, wszystko go udręczało. Twarz jego zbladła, ręce drżały, oddał dziecię matce, i odwrócił się dla łez ukrycia.

W takich chwilach pani des Arcis przyciskała córkę do piersi z największą czułością i pieszczotami matki, nigdy się nie skarżyła, odeszła do pokoju, położyła Kamillę w kołyskę i wpatrywała się w nią godzinami, równie niema jak ona. Ten rodzaj ponuréj melancholii był tak silnym, że czasem przez kilka dni nie wyrzekła ani słowa; napróżno się ją zapytywano, nie odpowiadała, jakgdyby sama zbadać chciała tę noc umysłu, w jakiéj jéj dziecię żyć, od losu było potępione.

Z córką swoją rozmawiała przez znaki, i sama tylko od niéj zrozumianą bywała; inne osoby, nawet pan des Arcis, zdawały się dla Kamilli być obcémi. Matka pani des Arcis, kobiéta zwyczajna, przybywszy do Chardonneux — tak się nazywała wieś pana des Arcis, utyskiwała nieustannie nad losem biednego dziecięcia, a dnia jednego mimo woli wyrzekła: „Lepiéj, żeby się była nie urodziła!” Cecylija odpowiedziała z gniewem prawie: »A cóżbyś uczyniła matko, gdyby mnie było to nieszczęście spotkało?”

Wuj Giraud nie widział w tém wielkiego nieszczęścia, że jego mała wnuczka niemą była. — „Miałem ja” mawiał często, »tak gadatliwą żonę, żem rad był, aby oniemiała. Ta mała jest naprzód pewną, że nigdy ani sama głupstwa nie powie, ani od nikogo nie usłyszy, nie będzie kłótliwą, nie będzie sługom wymyślała, jak to moja nieboszczka czyniła; gdy mąż z rana będzie wydawał rozkazy, ona się tém nie przebudzi; będzie wszystkiego troskliwie doglądała, bo z urodzenia niemi, mają wzrok bystry; cośkolwiek będzie wiedziała, czego inni z trudnością się uczą, to jest: więcéj czynić niż mówić, a jeżeli ma dobre serce, to nie koniecznie potrzeba cukrowych słówek, aby je poznać; będzie piękną i rozumną. Na honor, gdybym był młodym, sam bym się z nią ożenił, a teraz, kiedym stary i bezdzietny, przyjmę ją za własną córkę, jeżliby wam przypadkiem była ciężarem.”

Kiedy ojciec Giraud tak mówił, pan des Arcis i jego żona przynajmniéj na chwilę czuli się weselszymi.

III.

Kamilla stawała się starszą, natura dokonywała smutnie ale wiernie swojego zadania; to dziecię miało tylko oczy na posługi swojéj duszy. Nauczywszy się chodzić, ciekawość wiodła ją do wszystkich przedmiotów. Jakie tylko spostrzegła, chciała je zaraz pochwycić, ale wstrzymywała się z jakiejś obawy, i obracała ku matce, jakby jéj rady szukając. Dzieci z sąsiedztwa igrały z Kamillą; sposób, jakim uważała ich rozmowy, miał w sobie coś szczególnego! Uważając poruszenia ich ust i rąk, poznała, że się rozumieją wzajemnie, wtedy wpadała w smutek.

Gdy jéj towarzyszki były już w wieku, w którym się mogły uczyć, przyjęto im nauczycielkę; Kamilla bywała obecną przy ich lekcyjach i wpatrywała się zdziwiona. Widząc ich umysły wysilające się, chciała im swoim sposobem dopomódz. Czasami usiadała w kącie i kreśliłą kamykiem lub laseczką litery, których się drugie dzieci uczyły, i którym się ona uważnie przypatrzyła. — Obce dzieci zbliżały się do niéj nie tylko z bojaźnią, ale z niejaką pogardą; zdarzało się czasem, że które z nich długo się w nią z litością wpatrywało, przemawiało do niéj, a potém ze śmiechem wzywało do odpowiedzi. Miała już niejakie pojęcie o doliczaniu, wiedziała że dwa a dwa są cztery. Im była starszą, tém więcéj okazywała udziału, nie dla religii, któréj nie znała, ale dla kościołów.

„Ona jest w istocie piękną!” powtarzał często pan des Arcis, gdy Kamilla z lat dziecięcych wyrastać zaczęła, i była też taką. Z jéj czystych i regularnych rysów twarzy, jaśniała dobroć serca; nadzwyczajna białość jéj lica, tém piękniéj odbijała od czarnych długich włosów; będąc wesołą z natury, stawała się smutną, skoro ją nieszczęście czyje rozczuliło; w poruszeniach była zwinną i niezmiernie w wynalazki swojéj pantomimy przemyślną, aby się zrozumiałą uczynić; również była przenikliwą w wyrozumieniu innych, i zaraz posłuszną, skoro co zrozumiała.

Pewnego razu w sąsiedzkim zamku miał być bal; pani des Arcis chciała tam zawieść Kamillę, i widzieć, jakie wrażenie piękność jéj córki w towarzystwie, i na jéj mężu sprawi; najpiękniejsze nadzieje pokładała w tym planie. — „Wszyscy zazdrościć mu będą takiéj córki,” mówiła sama do siebie, »stanie się chlubą jego; nie będzie zachwycała słowami, ale ten niedostatek nagrodzi pięknością swoją.” — Po śniadaniu obaczyła z okna swojego pokoju, pana des Arcis, który dla niéj był więcéj kochankiem jak mężem, przechadzającego się w ogrodzie pomiędzy drzewami. - Odważyła się zejść do niego. Pan des Arcis obaczywszy idącą żonę, poszedł naprzeciw niéj, i z uszanowaniem pocałował ją w rekę. Przemówiwszy kilka słów obojętnych do siebie, przechadzali się razem. Pani des Arcis rozmyślała, jakimby sposobem skłonić go, żeby jéj pozwolił wziąć córkę na bal, i namówić go także, żeby z niémi pojechał, gdyż od czasu urodzenia Kamilli, nie bywał u nikogo i nie chciał się w żadném towarzystwie znajdować.

I on zdawał się ze swojéj strony być zamyślonym, jednakże pierwszy przerwał milczenie, mówiąc: że strata, którą poniósł jeden z jego krewnych, zagraża jego majątkowi, i że zmuszonym jest dla naradzenia się z swoim bankierem wyjechać do Holandyi, i dodał, że interes jest tak nagły, iż nazautrz z rana wyjechać postanowił.

Pani des Arcis odgadła łatwo właściwy powód téj podróży; mąż jéj dalekim był od tego, ażeby miał żonę swoję opuszczać, ale czuł niepokonana potrzebę oddalić się od niéj zupełnie na czas niejaki, chociażby tylko dla tego, aby spokojniejszym powrócić.

Cecylija przyznała mężowi słuszność, widziała potrzebę téj podróży, i nie sprzeciwiała się bynajmniéj, ale mówiąc to, ściskało się jéj serce z boleści, nieznała dotąd ani wielkiéj rozkoszy ani wielkiego ukontentowania; poszedłszy za mąż, błysnęło dla niéj szczęście na chwilę; teraz ją noc otaczała. Po chwili smutnego rozmyślania, podała rękę mężowi, i oboje wrócili do domu.

Gdy nadeszła godzina obiadu, kazała pani des Arcis oznajmić, że czując się słabą, nie przyjdzie do stołu. Uklękła w swoim pokoju i w tej postawie zostawała aż do wieczora. — Służąca, któréj pan potajemnie przykazał czuwać nad nią, przychodziła kilka razy do pokoju, ale żadnéj nie odebrała odpowiedzi. Koło godziny ósméj w wieczór, zadzwoniła pani des Arcis, kazała przynieść przygotowaną dla Kamilli suknię i założyć konie do powozu; oraz oznajmić mężowi, że jedzie na bal, prosząc go, aby jéj towarzyszył.

Kamilla miała postać wysmukłą i zgrabną. Ubrana od matki w białą muszlinową sukienkę, białe jedwabne pończochy, i takież trzewiki; mając na głowie wieniec z polnych kwiatów, przypatrywała się z zachwyceniem w lustrze i skakała z radości po pokoju. Matka zaś przywdziała aksamitną suknię, dla oznaki, że tańczyć nie będzie; wtém nadszedł pan des Arcis. — Bez zmieszania się, zapytała Cecylija służącego, czy już zaprzężono, a potém męża, czy zechce jéj towarzyszyć. — Pan des Arcis podał rękę żonie, i pojechali na bal.

Pierwszy raz widziano Kamillę w towarzystwie. — Słyszeli o niéj wiele; gdy więc weszła, wszyscy zwrócili na nią z ciekawości swoje spojrzenia. Cecylija nie zmieszała się tém bynajmniéj; po zwykłych powitaniach usiadła spokojnie, dozwalając córce przechadzać się po sali. Kamilla zastała tam dawne towarzyszki swoje, i biegała od jednéj do drugiéj, jakby po ogrodzie, kłaniała się wszystkim z niewymownym wdziękiem, niektórym ręce ściskała, a matki ich całowała w ręce. — Ale wszyscy przyjmowały ją oziębłe, unikając widocznie. Pan des Arcis stojąc w kącie, cierpiał na tém mocno. Przyjaciele schodzili się do niego, wychwalając piękność jego córki, nawet obcy i nieznajomi, prawili mu grzeczności i pochlebstwa; uczuwał on dobrze, że go chcieli pocieszyć, i to mu się nie podobało. — Rozmówiwszy się przez znaki ze wszystkiémi prawie obecnémi, wróciła Kamilla do matki, i wtedy zaczęli ją wszyscy podziwiać, w istocie też nic nie było piękniejszego jak jéj powierzchowność; kształ-

*

tna kibić, twarz piękna, szczególniéj oczy dziwnie jaśniejące, zajmowały wszystkich. Gdy swoim wzrokiem zdawała się wszystko odgadywać, jéj rozmyślna i smętna istota, przydawała każdemu poruszeniu szczególniejszego uroku; otoczono ją dokoła, zadawano przez gesta tysiączne pytania; a po zdziwieniu i niechęci, nastąpiło szczere sprzyjanie i prawdziwy udział. Słowem, Kamilla odniosła zupełne zwycięztwo, nie wiedząc o tém sama. Pani des Arcis, któréj serce biło gwałtownie z radości, spojrzała z uśmiéchem na męża, który z całéj duszy odwzajemnił to spojrzenie. — Tańczono, bawiono się; Kamilla, całéj zabawie przypatrywała się z smutną uwagą; młody chłopiec przystąpił do niéj, wzywając ją do tańca, zamiast odpowiedzi, wstrząsła mocno głową, przezco kilka kwiatków spadło jéj z głowy. Pani des Arcis podniosła je, i poprzyszpilała śpilkami, poczém szukała wzrokiem swojego męża, ale już go nie było w sali — kazała się pytać o niego i otrzymała odpowiedź, że piechotą odszedł do domu.

IV.

Pan des Arcis postanowił wyjechać bez pożegnania się z swoją żoną. Obawiał się i chciał uniknąć nieprzyjemnego tłumaczenia się, a mając zamiar, niezadługo powrócić, zdawało mu się roztropniéj, tylko list do niéj pozostawić; chociaż to nie było prawdą, żeby go interesa do Holandyi wzywały, wszelako ta podróż mogła być dla niego korzystną; zmyślił więc list od swojego przyjaciela, który go do spiesznego wyjazdu zniewalał Przybywszy do domu, kazał spiesznie pakować swoje rzeczy, i wysłał przodem do miasta; potém wsiadł na konia i odjechał. Wyjeżdżając z domu, uczuł żal mimowolny. Zastanowienie, czy nie zbyt prędko usłuchał swojego uczucia, zatrzymało go chwilę, i rzekł do siebie: „Może byłoby lepiéj, gdybym to uczucie pokonał. i nie wyciskał niepotrzebnych łez żonie mojéj; któż mi zaręczy, że gdzieindziéj spokojność znajdę? — Ale któż wié," pomyślił znowu, „czy ta chwilowa boleść, którą sprawię moim odjazdem, nie sprowadzi późniéj dni szczęśliwszych? Oddalę się na czas krótki z miejsca moich cierpień; przyjemność i trudy podróży, uspokoją boleść moję; wrócę spokojniejszym, a Cecylija niedługo cierpiéć będzie." Postanowił więc odjechać, i odjechał.

Około godziny jedynastéj Cecylija opuściła z córką swoją bal. Chociaż nie spodziéwała się, żeby jéj mąż tak nagle odjechał, wszelako przykro jéj było, że z balu sama powracać musiała. Gdy powóz zwolna toczył się po kamieniach gościńca, pani des Arcis wpatrując się w córkę, oddawała się najsmutniejszym przeczuciom. „Co się jeszcze z nami stanie?" mówiła sama do siebie. „Mąż mój oddala się ode mnie, wszystkie moje prośby będą nadaremne. Miłość jego umarła, i tylko litość pozostała. Ucieka od nas, a nasz widok wstręt mu sprawia. I gdybym się starała odzyskać męża, musiałabym się wyrzec córki. — Biédne dziécię!" rzekła, uścisnąwszy Kamillę. „Jażbym ciebie opuścić miała? Kosztem twojéj spokojności, a może i twojego życia? Szukać szczęścia, któreby mnie znowu opuściło? Ale, lepiéj umrzéć jak myślić o tém!"

W niejakiém oddaleniu od Chardonneux trzeba się było przeprawiać przez wodę. Od miesiąca prawie padały deszcze ciągle tak, że rzéka wystąpiwszy z koryta, zalała przyległe łąki. Przewoźnik nie chciał z razu brać powozu na prom i żądał, żeby konie wyłożono, żeby wprzód ludzi i konie przewieźć na drugą stronę. Ale pani des Arcis, spiesząc się do męża, nie chciała wysiąść, kazała woźnicy wjechać na próm. Odbili więc od brzegu, na środku rzéki zaczęła woda rwać nadzwyczajnie. Przewoźnik wezwał woźnicę do pomocy, aby, jak mówił, woda nie uniosła ich na szluzę. W istocie o kilkaset kroków, stał młyn, a przy nim z belek, palów i desek, zrobiona szluza, groziła wielkiém niebezpieczeństwem. Próm od dwóch silnych ludzi kierowany, zwolna się poruszał; oparty żerdzią na gruncie, i trzymany silnie, stanął w miejscu; ale po chwili w bok się zwracał lub kręcił wkoło. Pani des Arcis z córką w powozie, okropnie przestraszona, wyjrzała oknem powozu, pytając: „To niebezpieczeństwo! Czy jesteśmy zgubieni?"

W téj chwili żerdź się złamała, a obadwa przewoźnicy padli na próm. Nie było czasu do stracenia.

Pani des Arcis zapytała przewoźnika: »Czy możesz córkę moję i mnie uratować?"

„Mogę!" odpowiedział tenże wzruszając ramionami, i prawie obrażony, że mu takie uczyniono zapytanie.

»Cóż mamy czynić? zapytała pani des Arcis.

„Uchwyć się pani obiema rękami około mojéj szyi, ale się nie lękaj, i nie duś mnie z przestrachu, bo mnie i siebie zgubisz; pannę wezmę jedną ręką wpół, a drugą popłynę bokiem. Do brzegu będzie tylko ze dwadzieścia sążni."

»A Jan?" rzekła pani des Arcis, wskazując na woźnicę.

»Jan będzie musiał napić się trochę wody, ale się wyratuje; woda uniesie go aż do szluzy, tam niech czeka, póki po niego nie przyjdę."

To rzekłszy, rzucił się w wodę z podwójnym ciężarem; ale przewoźnik zanadto zaufał swoim siłom. Nie był już młodym, a pęd wody silniejszy, niż mu się zdawało. Czynił co mógł, aby się dostać do brzegu, ale bystrość rzéki unosiła go swym prądem. Pniak wodą okryty, którego dojrzéć nie mógł, a o który silnie czołem uderzył, wstrzymał go w dążeniu, krew puściła mu się z czoła, i w oczach mu się zaćmiło. — „Weź pani swoję córkę," rzekł wysilony, „bo ja, już nie mogę."

„A moję córkę samę, mógłbyś uratować?” zapytała matka.

„Nie wiém, ale tak mi się zdaje;” odpowiedział.

Zamiast odpowiedzi, puściła go pani des Arcis z rąk swoich — i, poszła na dno wody.

Przewoźnik wyratowawszy Kamillę, i posadziwszy na brzegu, poszedł z woźnicą, którego wieśniak z wody wydobył, szukać pani des Arcis, ale nadaremnie; dopiéro nazajutrz, znaleziono jéj zwłoki niedaleko brzegu.

V.

W rok po tém zdarzeniu, w hotelu Garni, na ulicy *du Boulot,* siedziała w pokoju młoda dziewczyna w żałobie przy stoliku, na którym stała do połowy wypróżniona butelka zwyczajnego wina. Starzec z przyjazną twarzą, nienajlepiéj ubrany, przechadzał się po pokoju; zbliżał się czasami do niéj, i wpatrywał się w nią z czułością ojca. Dziewczyna smutna, nieporuszona, zimna jak marmur, ale pełna wdzięku i szlachetności, z twarzy poznać dawała, że była niezwyczajną pięknością. Starzec zaś miał powierzchowność prostaka, i dość był niezgrabny; trudno obaczyć rzadszą sprzeczność, a jednak te dwie osoby łączyło najczystsze przywiązanie. Byłato Kamilla z swoim wujem Giraud. Zacny ten człowiek przybył do Chardonneux w czasie pogrzebu pani des Arcis. Kamilla po śmierci matki i oddaleniu się z domu ojca, sama zostawała na tym świecie. Pan des Arcis zajęty podróżą i interesami, zwiedzając miasta w Holandyi, dopiéro w miesiąc dowiedział się o śmierci swojéj żony, przez który czas jego biédna córka była zupełnie osieroconą. Wprawdzie była w domu guwernantka, któréj obowiązkiem było czuwać nad Kamillą; ale dopóki jéj matka żyła, nie znała nikogo przy sobie, jakoż guwernantka zaledwie znała Kamillę, a teraz w tak ważném zdarzeniu, nie mogła jéj być użyteczną.

Boleść młodéj dziewczyny z powodu śmierci matki, była tak gwałtowną, że długi czas lękano się o jéj życie. Gdy zwłoki pani des Arcis wydobyto z wody i do domu niesiono, Kamilla szła za nią z tak przeraźliwym krzykiem rozpaczy, iż się jéj ludzie lękali; i w rzeczy saméj, ta istota, dotąd niema, łagodna i spokojna, która na widok trupa, przerwała nagle milczenie; miała w sobie coś nadzwyczaj okropnego. Przez dwadzieścia cztéry godzin napełniała nieustannym wrzaskiem powietrze, biegała na wszystkie strony, rwąc sobie włosy, i bijąc się o mury; naostatek bezsilna, upadła przy stopniach łoża nieżywéj matki. Poczém zdawało się, iż odzyskała dawną spokojność, i o wszystkiém zapomniała. Chodziła dzień cały wolnym i spokojnym krokiem, nie odrzucając starań około siebie czynionych; jakoż przywołany lekarz żadnego nie upatrywał niebezpieczeństwa; ale niezadługo wpadła w gwałtowną nerwową gorączkę, i zdawało się, że zupełnie rozum straciła. Wtenczasto wuj Giraud postanowił ratować ją wszelkiémi sposobami. „Nié ma ona w téj chwili ani matki ani ojca,” rzekł domownikom, „ja, jako jéj dziadek, muszę miéć o niéj staranie. Kochałem zawsze to dziecię, i teraz zabiorę ją z sobą; jak ojciec powróci, oddam ją.”

Wuj Giraud, nie miał wielkiego w doktorach zaufania, i poniekąd miał on w tym względzie słuszność. Nie wierzył w żadnę słabość, bo sam nigdy chorym nie był. Nerwowa febra zdawała mu się małém pomieszaniem zmysłów, które rozrywki uleczyć są w stanie. Postanowił zatém wziąć Kamillę z sobą do Paryża. — „Dziewczyna martwi się,” mówił sobie, „i płacze ustawicznie, i, ma słuszność. Matkę, raz tylko utracić można, ale córka nie powinna dla tego umrzéć, że matka umarła. Paryż ją rozerwie i uratuje!”

Tym sposobem Kamilla po swojéj słabości, przybyła z wujaszkiem Giraud do Paryża. Pan des Arcis, uwiadomiony listem przez pana Giraud o téj wycieczce, zezwolił na to. Po swoim powrocie z Holandyi, przywiózł z sobą tak głęboką melancholiję, że nie chciał nikogo widywać, ani nawet swojéj córki; uciekał przed każdą żyjącą istotą; a nawet przed sobą samym! — Potajemna boleść trawiła go; wyrzucał sobie, że żonę swoję uczynił nieszczęśliwą za życia, i że się przyczynił do jéj śmierci. — „Gdybym był pozostał,” mawiał do siebie, „byłaby dotąd żyła!” Ta myśl zatruwała życie jego. Pragnął szczęścia Kamilli z największém poświęceniem. Piérwszą myślą jego, wróciwszy do Chardonneux, było, zastąpić przy córce miejsce zmarłéj, i tym sposobem dług serca wypłacić; ale podobieństwo córki do matki, już mu naprzód boleść sprawiało. Kamilla była dla niego zawsze żyjącym wyrzutem, dowodem jego błędu i nieszczęścia, którego znieść nie miał siły. Wuj Giraud inaczéj myślał, i starał się wszelkiémi sposoby wnuczkę swoję rozweselić, i życie jéj uprzyjemnić. Najął umeblowany pokój w oberży *Messagerie,* na dwa miesiące; jednakże rok cały tam przemieszkał z Kamillą. W tym czasie, wszystkie jego wzywania do zabaw, odrzucała Kamilla, ale będąc dobrym i cierpliwym, czekał rok cały, nie uskarżając się bynajmniéj. Kochał tę dziewczynę z całéj duszy, sam nie wiedząc dla czego. Takto nieszczęście, niepojętym urokiem ujmuje sobie czułe serca!

„Ale ja nie wiém,” rzekł wypróżniwszy butelkę, „co tobie przeszkadza pójść ze mną na operę? Mam już bilet w kieszeni, żałoba twoja skończyła się, masz dwie nowe suknie; ale do pioruna!” przerwał sobie. „Ty nie rozumiész tego, zapomniałem o tém, ale to nic nie szkodzi; będziemy się tańcom przypatrywać.” Tak mówił dobry wujaszek, zapomnia-

wszy, że ona go ani zrozumieć, ani odpowiedzieć nie może. A jeżeli się chciał znakami wyrazić, to jeszcze mniej zrozumiała. — Wziął przeto suknie, i z miną słodką i proszącą, oddał jéj w ręce. Ona uściskała go, dziękując mu, i znowu usiadła jak zwykle z smutną miną.

„Ale to nie dosyć;” rzekł wuj; »musisz się ubrać w te suknie.” Mówiąc to, chodził po pokoju, ruszając sukniami, jakgdyby maryjonetki tańczyły. Kamila, pierwszy raz po śmierci swojéj matki, stanęła przed lustrem, wzięła jedne suknią, spojrzała na niego uprzejmnie, i kiwnęła głową w znak przyzwolenia.

Na ten znak skakał pan Giraud jak dziécię z radości, bo Kamilla gotowa się była ubrać, i pójść z nim na operę, uściskał swoję wnuczkę kilka razy, wołając panny służącéj i lokaja.

Po skończonéj toalecie, Kamilla tak była piękną, że się sama do siebie uśmiechała. — „Powóz czeka na dole!” powiedział Giraud, udając ręką woźnicę, konie poganiającego, a gębą turkot powozu naśladując. Kamilla uśmiéchnęła się znowu, wzięła czarną suknię, którą zdjęła z siebie, złożyła troskliwie, pocałowała ją, schowała do szafy, i pojechała z swoim dziadkiem! —

(Dokończenie nastąpi.)

Fryderyk Wielki na reducie.

Razu jednego, siedząc właśnie u stołu, zapytał Fryderyk II znanego barona Pöllnitz, czy tenże będzie dziś w wieczór na reducie, a gdy on w sposób zatwierdzający odrzekł, król zawołał: „To dobrze; wiem tedy pewnie, że przynajmniéj jednego poznam.”

»To, sire, zależałoby jeszcze od okoliczności!” odpowiedział dworak.

„O, niezawodnie!” ozwał się Fryderyk II. »Poznam go w każdéj postaci, i chociażby wpośród tysiąca ludzi!”

„Nie śmiem waszéj król. mości zaprzeczać, ale czas to okaże.”

„Dobrze, lecz jestem tak pewny swego, iż.... nie żartuję, 1000 luidorów mu daruję, jeżli go nie poznam.”

„Naprzód już waszéj król. mości najpokorniéj dziękuję. Istotnie, nie spodziewałem się, że dziś moja szczęśliwa gwiazda świeci.”

»Tylko nie tryjumfuj zawcześnie, mój baronie. Zresztą, obaczymy. Dotrzymam ci słowa.”

Wstawszy od stołu, i rozmyślawszy należycie plan cały, udał się Pöllnitz do domu, i kazał sobie natychmiast jednego z najbogatszych Żydów berlińskich przywołać. Temuż opowiedział baron cały wypadek z królem i przyrzekł mu 1000 talarów nagrody, jeżli mu do osiągnienia zamiaru dopomódz zechce. Zależała zaś ta pomoc w tem, aby postarać się o nagromadzenie nadzwyczajnie wielkiéj ilości klejnotów, w które ustroiwszy się, mógłby w wieczór baron Pöllnitz nie dać się poznać królowi, słusznie przypuszczając, iż Fryderyk II na widok tylu kosztowności, raczéj na tego lub owego magnata albo bogacza, a niżeli na swego, po uszy zadłużonego szambelana pomyśli.

Nadszedł wieczór, zaczęła się reduta, i długo już szukał król ciekawémi oczyma barona Pöllnitz, gdy wtém pojawia się nadzwyczajnie kosztownie i wytwornie ustrojony Ormianin. Turban, pas, kaftan, wszystko błyszczało od prawdziwych brylantów.

Wszyscy téż zachwycali się widokiem bogatéj maski. Otoczono ją wkoło, każdy pragnął odgadnąć, kogoby ona ukrywała. Oglądano ją zewsząd, przemawiano do niéj, maska odpowiadała nieskąpo, lecz nikt nie był w stanie jéj poznać. Osobliwie król był ciekawym dowiedzieć się, kto téż w jego państwach tak rzadki skarb pereł i dyjamentów posiada? Wyprawiał więc jednego z swoich przybocznych po drugim na zwiady, lecz wszyscy wracali z doniesieniem, iż to jest bogaty Holenderczyk, mający rozległe posiadłości w kolonijach, i przybyły świeżo do Berlina w celu przedłożenia królowi kilku ważnych planów handlowych; gdyby król takowe przyjął: on byłby gotów sprzedać swoje posiadłości kolonijalne i osiedlić się w Prusiech. Wiadomości te brzmiały nader mile w uszach królewskich, i zdjęty już teraz jedynie ciekawością, coby to za plany były, o których Holenderczyk chciał z nim mówić, wysłał znowuż kilku dworaków, aby się to wybadać postarali. Wszakże daremne były wszelkie zabiegi; Ormianin odpowiedział hardo, iż plany swoje samemu tylko królowi objawić może. Jeszcze bardziéj tajemniczością tą rozciekawiony, zbliżył się sam król do nieznajoméj maski, zaczął z nią mówić, i dokładał wszelkich usiłowań, używał wszelkiego daru wymowy, aby Ormianina do rozgadania się przywieść; ale napróżno. Ile razy rozmowa zdala owych planów dotknęła, Holenderczyk natychmiast zamilkał, odpowiadał półsłówkami, i oświadczał uporczywie, iż samemu tylko królowi z tém się wykryje. Nie mogąc powstrzymać dłużéj swojej niecierpliwości, zdjął wreszcie Fryderyk maskę z twarzy, i rzekł:

„Cóż u licha! Wszakże ja sam jestem król.”

»A ja — Pöllnitz!» odrzekł szybko Holenderczyk, kłaniając się z uszanowaniem.

Król wypatrzył się najprzód z zadziwieniem na barona, skrzywił usta nie zbyt wesołym uśmiéchem, i nie mówiąc słowa, odwrócił się.

Nazajutrz odesłał Fryderyk II szambelanowi przyrzeczonych 1000 luidorów, i byłby mu niezawodnie dał był więcéj, gdyby go to było nie gniewało, że go tak chytrze podejść umiano.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 36ty i zawiera: 1) Doświadczenie z marglowaniem gruntów. 2) O przyczynach obłażenia wełny z owiec. 3) Niektóre szczegóły, dotyczące się chowu bydła. 4) Sposób przechowania chmielu. 5) Sposób gotowania ziemniaków nadpsutych. 6) Wiadomości handlowe i przemysłowe. *Dziennika mód paryzkich* pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 19ty i zawiera, prócz mód, następujące artykuły: 1) O wychowaniu kobiét. 2) Moje żale. Wiersz przez Karola Boczkowskiego. 3) Odpowiedź na zdanie o gramatyce Deszkiewicza. 4) Nowości literackie.

Kompozytor Feliks Dobrzyński, z królestwa Polskiego, nie może, podług doniesienia pism zagranicznych, powrócić do ojczyzny, ponieważ dorobił muzykę do kilku piosnek narodowych. Jego żona z dziewięciorgiem dzieci bawi w Warszawie, podczas gdy on jako nauczyciel muzyki w Berlinie osiadł.

Kto winien? Pewne satyryczne pismo paryzkie mówi z powodu urzędowego śledztwa, przedsięwziętego w skutek okropnego przypadku na północnéj kolei francuzkiéj, przy którym tyle ludzi życie utraciło — »Z wszelkich najsumienniejszych badań i dochodzeń, okazuje się oczywiście, iż ani rząd, ani żelazna kolej, ani wagony, ani szyny żelazne nic nie winne, ale winni są sami potopieni podróżni, gdyż w zupełnym braku wszelkich innych winowajców, tylko na nich, jako jedynych, którzy jeszcze w téj sprawie udział mieli, wina spaść może; jakoż wielkie szczęście dla nich, że poginęli, bo zapewneby ich do cięż-kiéj odpowiedzialności pociągnięto.«

Ofiary z dzieci u pogan starożytnych. Przy podobnych ofiarach u Fenicyjan musiała matka być obecną obrzędowi, i broń Boże, aby najmniejszą oznakę boleści była wydała. O Kartagińczykach mówi Plutarch: »Ci, którzy własnych dzieci nie mieli, kupowali takowe od ubogich rodziców, i bogom je poświęcali; lecz matka sprzedanego dziecięcia musiała stać przy ołtarzu, na którym je zabijano, i ani łzy ani westchnienia nie uronić, gdyż inaczéj traciła pieniądze, za które dziecko sprzedała, a dziecko zostało na każdy wypadek poświęcone. Wokoło posągu ofiernego brzmiała huczna muzyka trąb i kotłów, aby jęki zabijanych dzieci przygłuszyć.«

Pomyłki artystyczne. W żadnéj zapewne sztuce nie dopuszczają się artyści tylu anachronizmów, jak w malarstwie. I tak np. wystawiony jest teraz w sławnej galeryi obrazów Moughton Hall w Londynie obraz holenderskiego malarza Braghel »Trzej mędrcowie w Betlehemie«, przedstawiający nadzwyczajne mnóstwo drobnych i z godną podziwienia pracą wykonanych figurek. Osobliwszym zaś sposobem, występuje tam król Etyjopski w długim płaszczu królewskim, przy ostrogach, przynosząc dziecięciu Jezus nowoczesny okręt w darze. — W jednym z kościołów w Brügge jest malowidło, wyobrażające ślub św. Katarzyny z Syjeny, przyczem św. Dominik za drużbę służy, Matka Boska ręce jéj stułą wiąże, a król Dawid na harfie przygrywa. — Na znanym obrazie *Chella della Puera*, przedstawiającym Najświętszą Pannę, siedzi główna osoba na aksamitnéj sofie i pije kawę; po prawéj ręce siedzi przy niéj papuga, po lewéj leży kotka. — Pewien malarz, chcący cudowny połów ryb przez św. Antoniego z Padwy przedstawić, wymalował świeżo z wody dobyte raki jaskrawo czerwonym kolorem, a gdy mu ten błąd wyrzucano, odpowiedział, iż to właśnie jest cechą cudowności.

Chmura motylów. Dnia 19go z. m. przeprawił się przez cieśninę kaletańską, z Francyi do Anglii, nadzwyczajnie gęsty rój motylów, unoszący się w powietrzu na kształt ciemnéj, kilkaset łokci szerokiej chmury, która podług doniesienia dziennika *»Canterbury Guardian«* cały przejeżdżający tamtędy statek parowy cieniem zasuła i pokład okrętu zasypała. Zbliżywszy się o południu do lądu, rozleciały się motyle na wszystkie strony, a w godzinę późniéj powstał w tym samym południowo-zachodnim kierunku, którym owa motyla chmura leciała, nagły uraganowy wichr, przez kilka godzin trwający.

Gołąb' uwięziony. Z miasteczka Raden w Prusiech nadreńskich donoszą: »Synek tutejszego weterynarza, karmiąc drób' na podwórzu, postrzegł pomiędzy domowém ptactwem obcego gołębia, którego z wielką trudnością złapał, przyczem mu jedno pióro ze skrzydła wyrwał. Na odwrotnéj stronie tegoż pióra było słowo *»Strasbourg«* wydrukowane, a po bliższém opatrzeniu gołębia, okazało się, iż spodnia strona wszystkich piór u skrzydeł i u ogona była zapisana korespondencyją w języku polskim. Ponieważ w całém miasteczku nikt po polsku nie umie, więc nie ma żadnéj wiadomości o treści téj korespondencyi, z któréj sobie tylko słowa *»Strasbourg«* i *»policyi«* przypominają. Biednego gołębia odstawiono natychmiast do Dysseldorfu, a ztamtąd dano znać do Berlina.«

Aleksander Dumas dziwnych sposobów używa, aby tylko spiesznie a wiele pisać. Jak słychać, opłaca on młodych literatów, którzy dlań z różnych okresów historyi francuzkiéj wszelkie romantyczne zdarzenia, anegdoty, rysy charakterystyczne i t. p. wypisują, co on potém niewyczerpaną fantazyją swoją na mnogo-tomowe romansy rozrabia. 10—15 tomów, jestto zwykłą rzeczą przy każdéj Dumasowéj powieści, a że każde wydanie jeszcze rycinami zdobione bywa, tedy nié ma nic dziwnego, że księgarze po 100 franków za jedno dzieło pana Dumasa płacić sobie każą. Jakoż odpowiednio temu płacą oni też Dumasowi, który honoraryja swoje tylko na krocie liczy. Od kilku lat panuje zawzięta rywalizacyja między autorami »Hrabi Monte-Christo« a »Żyda wiecznego«, lecz w końcu nie staje już tchu Eugenijuszowi Sue, a Dumas, coraz widoczniéj nad swoim przeciwnikiem górujący, pracuje teraz nie do jednego, lecz do 6 dzienników naraz, i przysparza każdemu po kilka tysięcy prenumerantów. W dzisiejszéj francuzkiéj publiczności panuje niesłychana żądza bawienia się umysłowego, czytania, chociażby ją, jak to pan Dumas czyni, nieraz najniedorzeczniejszą gadaniną częstowano. Ale pan Dumas, sam sobie swoją publiczność wychował i ukształcił. Jest ona teraz w całéj Francyi podobną do owego sułtana w »Tysiąc i jednéj nocy« — t. j. każe sobie dziennikom swoim nieustannie bajki opowiadać, a skoro opowiadaczowi wątek bajek się urwie, natenczas zabija go, to jest — przestaje prenumerować.

Wpływ gorących napojów na zdrowie. Sławny profesor Liebig utrzymuje, iż piwo, wino i inne napoje gorące, są bardzo potrzebne do respiracyi, a témsamem do zdrowia, i zdaje się, że żołądki całego rodzaju ludzkiego, nie wyłączając nawet członków towarzystwa wstrzemięźliwości, pomienione artykuły ze spożytych potraw urabiają. Za najpowszedniejszy dowód tego może posłużyć koń, który po nakarmieniu go żytem, znowuż rzeźwym i do pracy skorym się staje, chociaż przed chwilą był zupełnie znużonym

i z sił opadającym. Pochodzi to ztąd, iż koń żyto spożyte w piwo w sobie przeistacza, przeco respiracyja ułatwioną zostaje i całe ciało nanowo się pokrzepia. Gdyby ktoś od wszelkich gorących napojów chciał się wstrzymywać, musiałby zaniechać także wszelkiéj żywności roślinnej, a zatém i chleba, gdyż wszystkie podobne pokarmy alkohol zawierają. W *Geographical Society's Journal* czytamy, iż osada okrętu Etna cierpiała tak dalece na szkorbut, że najmniejsze zadraśnięcie w niebezpieczną ranę się zamieniało, a używanie ryb, mianowicie sztokfiszu, pogorszyło jeszcze bardziéj tę chorobę; otóż najlepszém na nią lekarstwem okazało się piwo, przyprawione z esencyi słodu i chmielu.

Bicie monety w mennicy paryzkiéj dzieje się obecnie za pomocą ogromnéj machiny parowéj, mającéj siłę 80 koni, a od niejakiego czasu na próbę ustawionéj. Porusza ona 6 innych pomniejszych machin wynalazku p. Thonellier, a przedsięwzięta z nią próba powiodła się najpomyślniéj. Urządzenie téj machiny jest nadzwyczajnie sztuczne. Aby otrzymać gotową monetę, wkłada się wewnątrz okrągłe sztaby złota lub śrébra, i prawie w oka mgnieniu wysypują się po obu stronach zupełnie wybite luidory i pięciofrankówki. Każda z owych mniejszych machin urabia w jednej minucie, bez najmniejszego stuku lub szelestu, 60 do 80 monet. Obecnie biją najwięcéj drobnych pieniędzy po 25 i 50 centymów, których w kursie zabrakło.

Gra w karty z nowego stanowiska uważana. Sławny naturalista Buffon czyni w jednem ze swoich mniéj znanych pism następne postrzeżenia: »Gra w karty jest wzajemnym układem, mocą którego część swego majątku na stratę wystawiamy, aby wygrać takąż samą część majątku przeciwnika swego. W ten sposób stawka z obojéj strony jest równa; a przecież śmiem twierdzić, iż każdy grający więcej przegrywa, niż wygrać może. Co się bardzo jasno i bardzo łatwo dowieść daje. Przypuśćmy, iż dwie osoby mają obie po 100.000 fr. majątku; obiedwie stawiają połowę swego mienia, to jest 50.000 fr. na kartę. Wygrywający powiększa swój majątek tylko o 3 część, gdyż miał wprzódy 100.000 a teraz ma 150.000. Przegrywający zaś umniejsza swój o połowę. Los gry zdawał się z początku zupełnie równym, wszakże strata jest o szóstą część większą od zysku. Każdy gracz może tylko trzecią część swego majątku wygrać, lecz może całą połowę stracić. Przytém ten, co żyjąc wygodnie ze 100.000 fr., wygra jeszcze 50.000, nabywa przeto sumy, która do jego zwyczajnych wydatków życia nie jest koniecznie potrzebną, i bez któréjby z łatwością mógł się był obejść; przeciwnie ten, który 50.000 fr. traci, utraca przeto wszelkich swoich potrzeb i wygód połowę.

Börne o Napoleonie. Jedno z najtrafniejszych zdań o Napoleonie zawarte jest w słowach Börnego, wyrzeczonych z powodu zażądanego odeń ocenienia dzieła Waltera Skota o cesarzu francuzkim. »Chcąc mówić o największem dziele Waltera Skota, musiałbym stoczyć bitwę z Napoleonem, a może i dać mu się pobić, co tylko koronowanym głowom przynależy. Jestem bowiem małym, ale zawziętym nieprzyjacielem wielkiego cesarza. Nie mogę nigdy zapomnieć, iż potrzeba milijonu małych ludzi, aby jednego wielkiego męża utworzyć, któryto rodzaj podatku najbardziéj mię gniewa, ponieważ on najuboższych najbardziéj gniecie.«

1300-letni rodowód koni. Obecny Imam Muskatu, obok którego posiadłości Francuzi ostatniemi czasy osadę założyli, nadesłał królowi Ludwikowi Filipowi, prócz innych darów swojego kraju, także dwie pyszne klacze arabskie, pochodzące podług twierdzenia tamecznych mieszkańców, od ulubionéj klaczy proroka Mahometa, Bory. Obiedwie klaczy mają naszyi ołowiane puszki, zawierające dokładny rodowód tych szlachetnych koni, zatwierdzony należytémi świadectwami.

Zmiany w Turcyi. Turcyja staje się z dniem każdym więcéj europejską, przynajmniéj powierzchownie; nawet haremy doznają odmian, a przed kilką tygodniami odaliski sułtana wyprawiły w pałacu beglerbega przedstawienie dramatyczne, składające się z kilku tłumaczonych wodewilów francuzkich, które nadzwyczajnie się podobały. — Wiele znakomitych Turczynek zaczyna teraz pod długą oryjentalną zasłoną nosić suknie europejskie, co zaprawdę niezbyt korzystną za ich piękny krajowy strój jest zamianą.

Kto widział! Kto słyszał! Pod napisem »ogniste sanie« zawierają pisma niemieckie następującą osobliwszą wiadomość: »Obywatele w Polsce, w Galicyi i w Litwie jeżdżą zimową porą saniami, zaopatrzonemi z tyłu plecionym z drutu koszem, w którym dla odpłaszania wilków, pali się duży ogień; bez czego nie możnaby się wcale od nich odpędzić. Płonący w koszu ogień utrzymuje się dorzucanémi ciągle kulkami żywicy i smoły, których zawsze podostatkiem jest w saniach. Te ogniste sanie, wlokące za sobą długie pasmo pomniejszych, kapiącą żywicą utworzonych płomyków, sprawia istotnie okropny w nocy widok, i nie dziw też że wilki ze strachem przed takiemi piekielnémi wozy pierzchają.«

Zamienione żony. Pewien kupiec korzeni z ulicy *du Bac* w Paryżu, i kolega jego z ulicy *St. Louis*, wracali wraz z żonami, koleją żelazną z St. Germain do Paryża. Wtem zgasła lampa w wagonie, a w chwili przybycia drzémiących przyjaciół do stolicy, panowała szkaradna pluta na dworze. Podróżni wysiadłszy z wagonu, udają się w ciemności i śród deszczu, jaknajspieszniéj po fijakrów, i obie pary wsiadają do dwóch dorożek, z których jedna na ulicę *du Bac*, druga na ulicę *St. Louis* pędzi. Damy, przeziębione, skulone, obawiając się kataru, zachowywały się przy wysiadaniu i wsiadaniu, jak i w przejażdżce dorożką, zupełnie milcząco. Aleź wystawmy sobie zdziwienie zacnego *épicier*'a z ulicy *du Bac*, gdy zajechawszy przed swoje mieszkanie, i chcąc żonę z dorożki wysadzić, postrzega wcale obcą damę. Również i dama zdumiewa się, wydaje okrzyk przestrachu, mniema się być porwaną, uwiezioną, i chce już w pomoc policyję wezwać. Lecz niebawem następuje porozumienie; oboje przypadkowi małżonkowie wsiadają znowu do dorożki i pędzą na ulicę *St Louis.* Tam zdarzyła się tymczasem taż sama scena. Na szczęście jednak, dama uwieziona przez drugiego jegomościę, omdlała z przerażenia i nie mogła wsiąść do powozu, aby do swego mieszkania odjechała — przezco byliby się fijakrowie rozminęli i byłaby nowa pocieszna scena nastąpiła.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.